22. Marca. Nr. 21. 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**
Cena:
kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „
Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

II.

Kiedy przebudzając się otworzyłem oczy, ujrzałem przed sobą małego Ganimeda, z filiżanką czarnej kawy na tacy, i z uśmiechem wesołym, a nawet złośliwym na ustach.

— Już dziewiąta godzina — powiedział mi; co tyle znaczyło, jak: trzeba być wielkim śpiochem, ażeby spać tak długo.

— Gdzież jesteśmy? — spytałem, niemogąc jeszcze uporządkować wczorajszych wrażeń, które ścigając mię jeszcze we śnie, nie puszczały ze swego koła aż dotąd, mimo, iż białe światło dzienne jak najuprzejmiej przemawiało do mnie i odpędzało wszelkie nocne straszydła.

— Jesteśmy w Bosforze! *È la più bella veduta nel mondo* (najpiękniejszy widok na świecie) — powiedział mi już tonem przyszłego c i c e r o n e.

Zerwałem się równemi nogami z łóżka, i z roskoszą spostrzegłem, iż okręt nic się nie chwiał prawie; był to już przedsmak lądu, który po sześciu dniach wędrówki morskiej stał mi się bardzo pożądanym.

Ubrałem się z szalonym pośpiechem, i wypadłem na pokład. Wieczór wczorajszy i poranek dzisiejszy miały się do siebie, jak dwie najskrajniejsze przeciwności, jak rospacz do szczęścia, jak piekło do nieba! Płynęliśmy środkiem spokojnej, niebieskiej wstęgi Bosforu, mając po obu stronach zielone, wyniosłe, okazałe brzegi dwóch części świata. Tutaj Europa i Azja wieczny ukłon oddawały sobie. Jak dwie staruszki, co siadają na przeciwległych brzegach strumyka i rozmowę wiodą o swojem gospodarstwie, tak samo nad brzegami Bosforu usiadły te dwie części starego świata, i prowadzą wiecznie rozmowę o swoich kolejach, kłopotach i troskach, a że oddawna żyją i wiele pamiętają, więc przypominają sobie stare dzieje, jak to kiedyś było, i porównywają z tem, co jest dzisiaj, i kiwają głowami, i zdają się mówić: no proszę, jak też się ten świat zmienia! Niegdyś biały żagiel Hellady płynął tędy po złote runo, potem rzymskie nawy sunęły z zaborczym orłem na czele, potem łodzie z niesforną hurmą barbarzyńców, potem weneckie okręta, za ładunek krzyżowców mające, potem tureckie galery i czajki kozackie, potem... potem... i tu staruszki zaczynały mówić już o rzeczach dzisiejszych, i coraz to mocniej głowami kiwały i trzepały rękami, bo schodziły do kwestji wschodniej, i zżymały się wielce i pogodzić się nie mogły.

Ale rzucam to porównanie, bo oba wybrzeża Bosforu przedstawiły mi się wcale nie w postaci starców, lub staruszek. Były to raczej dwie dziewice, dwie odaliski haremu, z których każda wabiła ku sobie płynącego Bosforem sułtana. Nazywały się one: Azja i Europa. Azja była milcząca, zadumaną brunetką, ze smutkiem patrząca na swoje ubóstwo dziewczyną, ale z fanatyczną miłością w łonie, która góry przestawia, choć potem nie zdoła przenieść je na dawne miejsce. Była to naiwna i słodka niewolnica, czytająca roskazy w oku pana, gotowa piersią bronić własnej niewoli w obec natrętnych wybawców — Europa była dowcipną i przebiegłą blondynką, i nęciła ku sobie twarzą, strojem, uśmiechem, dowcipem, rzutem oka; była zatem straszną współzawodniczką dla biednej Azji. Azja mówiła: bierz mnie, jaką jestem; nie mam więcej nadto, co widzisz, ale wszystko to co mam, jest twoje! Europa mówiła: nie masz pojęcia o roskoszach, jakich mógłbyś doznać w moich objęciach; to co widzisz, jest tylko miljonową cząstką moich wdzięków i bogactw!... No i wiecie, która zwyciężyła? która znęciła do siebie sułtana? Rozumie się, że Europa! Ale tym sułtanem to nie ja byłem, ale Konstantyn Wielki (co nie znaczy Wielki książę Konstanty) który na europejskim brzegu założył stolicę wschodniego imperium. Moja przychylność podzieloną była pomiędzy obie dziewice, i gdybym był Konstantynem Wielkim założyłbym dwie równie wielkie stolice po obu stronach Bosforu.

Ale wróćmy do widoków tego wspaniałego kanału. U samego wstępu witają nas forty tureckie. Potrzeba im zapłacić za to, że są tak grzeczne i nie strzelają do nas, i to się nazywa cłem okrętowem. Dla Turków byłby wielki kłopot zajmować się zbieraniem tego cła. Licząc na powolność i ociężałość turecką, niejeden okręt przeszedłby może bezpłatnie i bezkarnie pomiędzy baterjami, a Turcy po długiem zbieraniu się strzelając, trafiliby już chyba do innego okrętu, który się wcale nie myślał usuwać od wypełnienia przepisów celnych. W ogóle rola celników nie przypada do gustu poważnej naturze tureckiej; dla tego też wynajmują dochody celne Bosforu pewnej kompanji franko-angielskiej za jakąś znaczną summę, zostawiając sobie dozór — rozumie się, turecki — nad sprawowaniem się celników.

Forty składają się z baterji w skałach wykutych i mają bardzo mizerną postać zewnętrzną. Bronią one jednak dzielnie Bosforu od morza, bo flotta, któraby zdołała przejść po przed pierwszemi fortami, znajdzie jeszcze przed sobą szereg następnych baterji rozłożonych po obu stronach kanału. Ale od strony lądu, jak się zdaje mogłyby być tylko igraszką dla nieprzyjaciela, który by piechoto przeszedł przez Bałkany.

Na smętnym choć wyniosłym brzegu Azji witają nas tak zwane m u r y g e n u e ń s k i e, wspaniałe i malownicze ruiny potężnego niegdyś zamczyska, założonego podczas

wojen krzyżowych przez Genueńczyków. Bluszcz i dzikie zioła wiły się po murach jeszcze groźnie sterczących; na baszcie przez pół zwalonej małe drzewko wyciągało swe cienkie gałązki ku górze i wyglądało jak małe dziecię na rękach weterana, tak spokojnie uśmiechnięte, tak nie wiedzące o burzach i walkach, przez jakie piastun jego przechodził. Myślałem nieraz nad tem: dlaczego widok ruin pokrytych zielonością, powszechnie tak miłe sprawia wrażenie? i przyszedłem do przekonania, że składa się na to głównie zestawienie głębokiego, tragicznego doświadczenia murów z doskonałą bezwiednością, z nieporównaną naiwnością roślinnych stworzeń, co żyją tylko od wiosny do jesieni, i z nową wiosną żywot rospoczynają.

— Patrz pan, to są mury genueńskie, — powiedział do mnie mój kapitan z pewnem uczuciem chluby — Kiedy te mury stawiono, Genua była silną rzecząpospolitą i panią mórz, niezależną potęgą!

W uczuciu dumy municypalnej mój kapitan zapomniał o tem, iż Wenecja miała większe prawo do nazwiska: pani mórz. Ale jak pięć wieków temu, tak i dzisiaj municypalizm gra wielką rolę we Włoszech, i po za murami rodzinnego miasta świat jest zwykle bardzo mały i lichy.

Na wschodnim, europejskim brzegu Bosforu witały nas białe wille, rozsypane na tle bujnej zieloności drzew. Wesołe ogrody i ciemne gaje cyprysowe pięły się na szczyt wysokiego brzegu, jakby ciekawe zobaczyć, co tam się dzieje na wodach Bosforu. A na tych wodach zgiełk i ruch nieustanny... Ten parowiec z długim warkoczem dymu pędzi, tchu przyśpieszając, z licznem gronem jadących... tam całe stada żółtych kaików z czerwonemi wiosłami — istne rybki małe — pomykają z niezmierną szybkością w rozmaitym kierunku... tam znów spokojnie chwieje się na fali milcząca łódź rybacka, i zwolna puszcza podstępne sieci pod siebie... Gdzieindziej okręt żaglowy — nasz kolega — leniwo się sunie, wyglądając, rychło-li wiatr pełnego morza uderzy w żagle obwisłe.

Na naszym pokładzie był ruch i krzątanie się wielkie. Zwijano żagle jeden po drugim, zmywano podłogę pokładu, przygotowywano kotwicę do zapuszczenia jej na dno morskie. Już okręt nasz szedł tylko o jednym żaglu górnym, i coraz to zwalniał biegu, i nieznacznie, niepostrzeżenie prawie posuwał się naprzód bez szelestu i bez kołysania się. Dopływaliśmy wioski zwanej *Bujuk-der*, przy której najczęściej zatrzymują się włoskie okręta, jeżeli dni kilka mają zabawić w Bosforze. Jest to jedna z najpiękniejszych części Bosforu. Wioska leży na samej krawędzi wybrzeża, i w gęste ogrody ubrana przegląda się z zadowoleniem w rozgładzonych falach. Na przeciwległej stronie Bosfor tworzy głęboką zatokę, i w ten sposób rozszerza widokrąg, amfiteatralnie układając zielony brzeg Azji.

W Bujuk-der mieliśmy się zatrzymać. Spuszczono kotwicę, zjedliśmy z kapitanem ostatnie śniadanie na okręcie; pożegnałem się z majtkami, z którymi dni sześć przepędziłem w najlepszej harmonji, i siadłem wraz z kapitanem na łódź, która nas do brzegu, mianowicie do wioski Bujuk-der, odwiozła. Ztąd, co godzina odpływający parowiec, miał nas zawieźć do Stambułu.

Weszliśmy do małej przystani, do której zwykle parowiec przybijał. Była ona właściwie małym, ale cienistym ogródkiem. Pod drzewami przy stołach siedziało dużo osób; chłodzono się zimnemi napojami, albo pito kawę. Z ciekawością poglądałem dokoła siebie, szukając charakterystycznych cech życia tureckiego, alem ich nie dostrzegał. Wszystko tu prawie było po europejsku: krój sukni był francuzki, mówiono po włosku, lub francuzku; ale najczęściej po grecku. Tylko czerwone czapeczki na głowach, zwane f e z a m i, mówiły o innych warunkach życia; ale ja nie fezów lecz zawojów szukałem, a tych na lekarstwo znaleźć nie mogłem. Nie wiedziałem o tem, że i turcy chodzą w fezach (jakkolwiek zawój jest bardziej narodowym i tradycjonalnym ubiorem głowy) i noszą długie surduty na wzór czamarek kościuszkowskich. Stosuje się to tylko do wyższego świata towarzyskiego.

Stanąwszy u samej krawędzi przystani, podniosłem wzrok w górę dla obejrzenia domów otaczających nasz mały ogródek. W jednym z otwartych okien siedziała postać, którą nie mogłem wówczas zaliczyć do żadnej narodowości, nie umiejąc orjentować się pośród tej mięszaniny języków, obyczajów i strojów. Dziś sądzę, że to musiał być turek, pierwszy turek w całej okazałości swojego bezruchu, jakiego spotkałem w tej wędrówce. Palił fajkę i patrzył przez okno przed siebie. Na co patrzył? tego odgadnąć nie mogłem; ale musiał być punkt jakiś, i to punt stały, na który oczy miał ciągle zwrócone. Na twarzy tkwił zupełny bezruch, doskonała martwość rysów, niczem nie zmącona. Palił fajkę, ale tak spokojnie i powoli, tak łagodnie puszczał dym przed siebie, że nie mogłem dostrzedz nawet najmniejszego ruchu ust. Potrzeba wiedzieć, że to było w czerwcu, przy pięknej pogodzie, w przedpołudniowej porze. Słońce grzało dość silnie, ale z Bosforu zawiewał lekki wietrzyk, i orzeźwiał roskosznie; drzewa wydawały woń przyjemną, lekki plusk fali i głosy ludzkie łączyły się w śpiewną harmonję. Wszystko to oddziaływało na zmysły mojego turka, i zamiast by podraźnić jego nerwy do ruchu, było dlań narkotyczną kąpielą, w której myśl jego zasypiała przy oczach otwartych. Juściż zmysły jego musiały doznawać w tej chwili przyjemności: podniebienie łechtał mu dym tytoniu, zapach drzew napełniał mu nozdrza, szmer przyjemny pieścił jego ucho, w oczy uderzał blask pogodnych wód Bosforu; ale zmysły te musiały być niezależnemi od niego. Były one jako sługi puszczone przez pana wieczorem na niedzielną zabawę, i bawiące się same dla siebie, podczas gdy pan już we śnie spoczywa.

Patrzałem długo z ciekawością na tę dziwną postać, którąby można wziąść było za mumję, gdyby nie pełność oblicza i nie żywa smagła cera twarzy.

Nakoniec nadjechał parowiec, i weszliśmy na jego pokład. Tutaj dopiero uderzyła mię różnobarwność i rozmaitość strojów, języka i zwyczajów. Turcy, Arabi, Grecy, Ormianie, Francuzi, Włosi, Anglicy, mieli tu swoich przedstawicieli, a nawet blade angielki jako rzecz *sine qua non* były tu także obecnemi. Ta cała jednak pstrocizna nie była ruchliwą i mieniącą się; dostrzegłem, że i europejska żywość miękła, i topniała na atmosforze Wschodu.

Muszę się przyznać, że oto jadąc wtedy na pokładzie zakrytym z góry od słońca, otwartym z dołu ku wodzie,

tak błękitnej jak niebo tej strefy, kiedym wypił maleńką filiżankę kawy tureckiej, którą roznoszono po pokładzie i zapalił jakieś nie złe cygaro, to nawet ja sam wtedy doznawałem jakiegoś wschodniego rozmarzenia, i zaśmiałem się na myśl, że mógłbym przecie stać się takim turkiem, na jakiego patrzałem przed chwilą, tak długo, z ciekawością nie całkiem pochlebną.

Ale statek nasz dokądeś przybił — potrzeba wysiadać. (C. d. n.)

Ustęp powieści.

I.

Och, ten przeklęty maj!... w powietrzu woń upajająca,
Na ustach śpiew, a pierś — jak wulkan zapieniony wrząca.
„Luba! nieprawdaż, raj?" wykrzyknął uczeń medycyny
Do panny X. — „Ostrożnie! w raju bywają gadziny."

Słowiczych kaskad szmer odzywał się z drzewnej gęstwiny...
Przecudny świat!... Precz, precz, o dumko lat młodych paląca!...
Ty pyłek sennych róż i nektar słodkich ust dziewczyny
Przerabiasz w jad!... idź precz, cierniami pokłuta! płacząca!

II.

Pod namiotami drzew... ach! któż-to?... piękna, czarnooka,
W szeregu pań, jak Wenus szła, powiewna i wysoka...
Z pod ciemnych długich rzęs źrenica jej bosko-zuchwała
Na barwny tłum, jak skra po skrze, co chwila wybiegała.

Ach, czuję, brak mi słów!... Tragiczna i cicho-wspaniała,
Jak grecki szał... namiętna była i dziwnie głęboka...
Łabędzią pierś, nóżęta drobne, jak kopciuszek, miała,
I kruczy włos... przed nikim nigdy nie spuszczała oka!...

III.

Ach! on zobaczył ją — i w pierś mu się wpiła zdradliwie...
I patrzył wciąż, jak czart w niebiosa, rozpacznie i chciwie!...
I opętany duch rozpiętrzył się nagle gmachami
Pogańskich miast, i greckich bóstw zabielał posągami.

I wyśnił mirtów gaj i strumień z młodemi nimfami
O śnieżnej płci — a w świecie tym — kochających się tkliwie
Ognistych dwoje serc i usta spojone z ustami,
I białą pierś pod skroń, i krew rozhukaną straszliwie.

IV.

Więc ile tylko miał w szalonem swem sercu płomieni,
Zlał w jeden pęk — i posłał jej pytające spojrzenie:
„Życie, lub śmierć!" — a ta, jak gdyby zbudziła się, drgnęła
I (dalibóg że cud!) jak róża o wschodzie spłonęła.

U srebrnych duszy bram anielska królowa westchnęła...
Ach! już nie dla niej iskrzyło się młode natchnienie!
Więc z ideału ram obrazek swój boski wyjęła
I pyłek stóp otrząsła na pokalane marzenie.

V.

Z panną był brat — złośliwe jak sto szatanów chłopiątko.
Bohater nasz go znał: — największe to było oślątko
Ze wszystkich małych kpów, co nauk u niego słuchali,
I za to w jeden głos poetą go wielkim nazwali...

Odgadł dowcipny łotr, że w duszy magistra się pali —
A więc do sztuk!... pochylił ją doń ostrożnie z początku,
Aż nagle... *Dio!*... gwałt!... włosami dotknięci zostali —
A malec w śmiech... skarżącej się szepnął: „ach, niewiniątko!"

VI.

Szalona, młoda krew, jak war, rzuciła mu się w oczy;
Milion fal o skroń rozbiło się; prąd ich uroczy
Zalał mu piersi; — a wszystkie serca mdlejącego tętna
Szeptały mu: ach, śliczna — śliczna, ponętnaż — ponętna!...

Z wysoka Anioł-Stróż przemawiał: „O duszo namiętna!
„Otrząśnij czar, nim piekłem cię naokoło otoczy,
„Nim czoło zwala brud i hańby niewolniczej piętna,
„A świętszy cel rospusta z woli zdeptanej wytłoczy!..."

VII

On drżał jak liść — a zawsze kochał przepaście bezdenne,
I ciemne szepty skał, i oczy tygrysów półsenne
W objęciach śmierci, i miecz nad huczną zwieszony biesiadą,
I ten przeklęty dźwięk, co trąci o tysiąc mil zdradą...

Lecz kochał też powinność z twarzą surową i bladą,
Uwielbiał męki cierń i krzyże ofiary promienne,
I korny czyn i moc kapłańską na walki codzienne,
I nieskalaną cześć przed Bogiem i bratnią gromadą...

VIII.

Zgryzota, wstyd i szał dopadły, jak furje, ducha...
A w tem poezja namiętnie mu szepnie do ucha:
„Daj mi ją, daj! mój świat ożywi się główką niewieścią,
„I życia pierwszy tom zakończy się piękną powieścią.

„Z kwiatów i łez... Ty winieneś bliżej znać się z boleścią
„Rozdartych serc, zkąd śmiech i przekleństwo w piersiach wybucha...
„Pieśń taka dziwi tłum, jak dziwiłby miecz z rękojeścią
„Wgryzioną w pierś — i za to ją aż do końca gmin słucha.

IX.

„Spojrz tylko na te dwie z pod rzęs migające pochodnie!
„Podobny wzrok zawstydziłby odaliski mógł wschodnie...
„Ileż tam krwi wypalać się musi w żądzy tajemnej!
„Ileż tam walk rozpływa się w mgłach drzemki haremnej.

„Największy mistrz opuściłby dłuto w trosce daremnej!
„Patrząc w tę twarz, gdzie szał ustroił się w piękność niegodnie,
„Gdzie z formą boską czart rozpysznił się w spółce nikczemnej,
„Gdzie zdradą każdy wdzięk — a uśmiech ubarwiłby zbrodnię.

X.

„O luby! może duch w pogański ten marmur zaklęty
„Na skargę pieśni twej rozbudzi się jasny i święty;
„I ta, co dziś wydaje się tobie orgij sułtanką,
„Stanie się perłą cnót i czci platonicznej kapłanką...

A na to on: „Ach, dość! skrzydlata dum złotych kochanko!
„Ja ginę już..." A w tem dosięgnął go wzrok jej przeklęty,
Słodki, jak nie wiem co!... I został jak mucha ujęty
W promienną sieć... Poezjo! Cóż to, płaczesz, niebianko?

XI.

Gdy w biednym łbie zagnieżdżą się martwych dziwne mamidła,
Cały ten przed nim świat roztęcza się jak bańka z mydła...
Gwiazdką mruga mu toń, przepaście umizgną się cieniem,
Bezdusznej fryny wzrok roziskrza się łzą i natchnieniem...

Lecz gdy zapóźny żal owionie go zgryzot płomieniem,
Ty, co nań czar rzuciłaś swój, że wpadł w te zdrady sidła,
Jęczysz i klniesz — by znów pociągnąć go słodkiem wspomnieniem
Do nowych głupstw... Poezjo! jakżeś ty mi obrzydła...

XII.

Pani! biję się w piersi! ach przebacz mi, pieśni królowo!
Twoja to moc, twój duch i z nieba płynące twe słowo
Dały mi kilka chwil, jak Bóg tam, potężnych i świętych,
A pełnych łez i krwi i popiołów z mogił gdzieś wziętych...

O, mam ja skarbiec prawd sarkastycznym śmiechem nietkniętych...
Twój także jest tam tron czerniący się barwą kirową,
Śród potrzaskanych tarcz i sztandarów — dziś już zwiniętych
Na cały wiek... Lecz wracam się do powieści na nowo.

. . . .

Leonard Sowiński.

Moja dumka.

Wiatr stepowy — szum dąbrowy
Pieśniom daje wtór,
I wspomnienia — i marzenia
Przegrywają w chór.

Młode latka — do ostatka
Dziś przechodzą już,
Zwiędłe wieńce i rumieńce,
I równianki róż.

Dzisiaj serce — wciąż w rozterce,
Przeszłość drogi czar,
Tylko z łzami — z pamiątkami
Żyję w pośród mar.

Marzeń kraju — wspomnień raju
Ach! gdzie dzisiaj ty?
Gdzie różane — sny kochane,
Pierwsze szczęścia łzy?

Z snów krainy — gdzież jedyny
Anioł serca mój?
W stepach burze — zwiędły róże,
Z losem wieczny bój...

Śpiew dziś marny — bo los czarny
Zsępił młodą skroń,
Złote kwiaty — marzeń światy
W straszną ujął dłoń.

Przeszłość błoga — dar od Boga,
Ja już żegnam cię!
Uleciałaś — lecz mi dałaś
Choć pamięci łzę...

Malwina W.

DO GWIAZDY.

Zeszła gwiazda, powitała
Boże narodzenie.
Gdyby zeszła, zwiastowała
Polski odrodzenie!

Gdyby zeszła, wywróżyła
Skończone cierpienia!
Ogniem swojem rozżarzyła
Lud polski z uśpienia.

Gdyby znowu na błękicie
Kraj nasz pozdrowiła,
Rozjaśniła dawne życie
Wolność wywróżyła!

Gdyby mojej Ukrainie
Hetmana wskrzesiła,
Nam tułaczom na czużynie
Przyszłości nie ćmiła.

Gdyby, gdyby!... serce boli!
G d y b y się nie spełnia...
Ciężko czekać lepszej doli
Wśród głogów i ciernia!

Świeć że gwiazdo jasno, jaśniej
Dla polskiego ludu,
Srebrno, czysto, i nie gaśnij
Nie zrobiwszy cudu.

Płyń na północ. Znajdziesz chatkę,
W niej może rospacza
Biedna matka... pozdrów matkę
Od syna tułacza!...

Tułacz patrzał, gwiazda bladła,
Modlił się pocichu.
Gwiazda znikła, gdzieś zapadła
Tam, w chmurach bez słychu.

Znikła, zgasła gwiazda sroga,
Z nią znikły marzenia,
Tułacz szeptał: Idź, proś Boga
Dla Polski zbawienia.

R. Th.

Ameryka 1863.

DO BRACI UKRAIŃCÓW.

O bracia moi z nad Dnieprowej fali,
Bracia nie ze krwi, ale bracia z ducha!
Słuchajcie głosu, co brzmi wam z oddali,
I płynie ku wam, kędy cichość głucha...

Jam wieszcz wasz z rodu... i nad moją głową
Szumiały wichry stepów Ukrainy,
I mnie niańczyło waszej dumy słowo,
Mogiły przeszłe powiadały czyny.

I cóż wam rzekę? — Czyliż czcze wyrazy
Będę wam znanej piosenki powtarzał?
Czyli rusałek urocze obrazy
Po wielkim mistrzu będę znów odtwarzał?

Nie! o nie, bracia — przed oczy waszemi,
Ja chcę roztoczyć sztandar narodowy,
A symbol święty, wzięty nie z tej ziemi,
Radbym wypisać ognistemi słowy.

Patrzcie o bracia, na jasnem tle zorzy
Widnieje w zbroi święty rycerz Boży,
I nie zalękły, silny jak opoka,
Włócznią przebija straszną paszczę smoka.

Zwija się potwór pod stopą świętego,
Bluzga nań z paszczy nieczystą posoką,
Lecz nie dosięga — u zwycięzcy, oko
Jaśnieje, jakby do nieba wziętego.

Bo on już teraz nie ma nic z tej ziemi,
Siła brutalna legła powalona,
Tak jako niegdyś siłę Faraona,
Mojżesz zwyciężył modłami swojemi.

I jaśniejące wznosi młodzian czoło,
On na ofiarę za lud się poświęcił,
A Bóg go chwałą zwycięztwa uwieńczył,
Słyszy wdzięczności okrzyki już w koło...

Bracia! nie każdy może za współbraci
Walczyć ze smokiem, zwyciężać olbrzymy,
Nie każdy życie za ojczyznę traci,
Nie każdy godzi z marzeniami czyny.

Lecz na każdego może przyjść godzina,
Iż w piersi własnej ma takiego smoka,
Pokus szatańskich zjadliwa gadzina
Struje uczucia i łzę zetrze z oka.

I wy jesteście w jednej z takich chwili.
Do walki zatem — o bracia! do boju!
Aż smok upadnie, aż złe się przesili,
Aż w serca wróci uczucie pokoju!

O! najstraszniejszy ze smoków ludzkości,
Jest smok potworny, nienawiścią zwany,
Za nim smok fałszu, i smok przedajności,
Co duszę wtłacza w piekielne kajdany,

I prawi do was: „Chodźcie! za garść złota,
„Którą wam rzucę — waszego żywota
„Oddajcie spokój i cześć i sumiennie,
„Uczucia wasze, waszych przodków cienie!

„A ja wam za te zdeptane świętości,
„Dam złota garstkę, dam ciała uciechy!"
Tak to pod wasze zakradłszy się strzechy
Do was przemawia ów smok sprzedajności!

O bracia! w Imię żyjącego Boga!
Odwróćcie serca od poszeptów wroga!
Próżno świat dzisiaj wytęża swe siły,
By nas oderwać od wspomnień mogiły.

Napróżno piekło miota się i zżyma,
Że na nas piętna nie widzi Kaima,
Próżno wskazuje złudnie cel daleki,
Byśmy się w drodze zbłąkali na wieki!...

I obcych ludów łudzące przykłady
W cielca złotego chcą nas zwabić ślady...
Ale nie, bracia! — to nie wasza droga!
Nie wam potomkom świętego narodu
W handlarzy, w kramarzy,
Zmieniać się Zachodu!
I zamiast serca, nosić kieskę złota,
Mieniać w talary dni swego żywota!...
Gdy los przeciwny waży się nad nami —
Zostańmy kmiećmi, ale nie żydami!
Wzoru wam trzeba? — patrzcie jak kmieć Boży,
Ów Piast przedziwny, własny zagon orze —
A orze ciągle — a orze powoli,
Aż wybił bróznę od Dniepru do Sali.

Toż i my orzmy — a gdy Bóg pozwoli,
To w ślad Piastowski będziemy orali!...
Ale wpierw trzeba pierś uzbroić w wiarę,
Czoło opasać przyłbicą wytrwania,
Na dobrowolną oddać się ofiarę,
A każdą karę przenieść bez szemrania.
A wówczas znowu na jasnem tle zorzy
Zaświeci nowy, święty rycerz Boży,
Zwycięzca większy od swego patrona,
Gdyż egoizmu smoka, sprzedajności
Na wieki wieków zgniecie i pokona —
Włócznią miłości!

Juljan z Poradowa.

Czary.

Opowiadanie Marka Wowczka.

(Dokończenie).

IV.

Nazajutrz prosi Chyma swą matkę:

— Mamo, pójdę w gościnę do ciotki.

— Idź doniu, idź; może rozważysz twoje serdeńko.

I wyprowadziła córkę aż do okopu.

Nie poszłaż Chyma do ciotki, ale poszła w dziki bór. Znała ona tam inną ciotkę... Nie widziała jej nigdy, a przeczuła, że w tym borze mieszka czarownica.

Przydała się ona teraz biedaczce Chymie.

Wyszła Chyma za wieś — wiją się dwa szlaki. Spojrzała wokoło — nie ma żywej duszy; tylko szumi wierzba kędzierzawa, i słychać jak w oddali rwie z łotoków woda; popatrzyła, i poszła tym szlakiem, co do boru.

Idzie, idzie; mija góry kamienne i zielone łęgi.

Słońce przypieka, zwróciwszy się z południa; białe nogi pokaleczyła o kamienie; długą kosą zaczepia gałęzie; idzie, nie uważa na nic. Przez most przechodząc bystrą rzekę, niechcący spojrzała w czystą wodę — i nie poznała samej siebie, aż się zatrzęsła.

— Jaż to jestem! Gdzież się podziała moja dziewicza krasa?... I na cóż mi się ona teraz przydała?... Niech przepada! bylem swego dopięła.

Weszła w bór; zielony a gęsty — nie przejrzysz! ciemno w nim i głucho. Oglądnie się, a słońce już niziutko: niebo, pałając, czerwienieć zaczyna.

Idzie przez bór, przysłuchując się: to coś prychnie z boku, to brzoza się zachwieje, to coś krzyknie ›Chymo! Chymo!‹ i pójdzie huk ciemnym borem, aż się odbija echem.

Czy długo ona szła, czy nie długo... kiedy nie spojrzy — stoją dwa dęby wysokie-wysokie, a pomiędzy dębami siedzi stara kobieta, stara-przestara, aż ją mchy pokryły!... Mętno się zrobiło w oczach Chymy; a wiedźma pyta:

— Pocoś tu przyszła? luba dziewczyno! Czegoś przyszła taka młoda i piękna?

— Do was przyszłam, babusiu; pomóżcie!

I rozpowiada jej swe licho i przygodę.

Wiedźma powiada:

— Jeśli chcesz, to cię nauczę.

— Nauczcie! — prosi Chyma.

Znalazła wiedźma noża i piórko jakieś zaszeptane.

— Wyciągnij twą lewą rękę, dziewczyno!

Ta wyciągnęła.

Tylko błysnął ostry nóż: czerwona krew pokapała z puszki. Wiedźma umoczyła w niej pióro, i przemówiła.

— No — powiada — teraz idź! co zechcesz, to zrobisz twoim wrogom.

Wychodzi Chyma z boru, a słońce już zapada. Czuje ona w sobie siłę nadludzką... Przerzuciła się jaskółką, i poleciała.

Doleciała do wioski — już wieczór.

Uderzyła się jaskółka o ziemię — przerzuciła się w starą babę, taj stanęła pod oknem Ołeny.

Patrzy: siedzi Ołena pomiędzy drużkami, i jak pełna róża piękna, okwiecona, a tak w koło niej wesoło i cicho... takie u niej lube spojrzenie!...

I drużki młodziutkie szemrzą koło niej jak te złote pszczółki; zasiadły stół, jak świeże kwiateczki, a Ołena najwyżej siedzi na *pokutiu* *).

---

*) Miejsce honorowe w chacie, pod obrazami.

Popatrzyła Chyma, i aż się w niej serce przewróciło.

— O! — powiada — właśnie zebrał się u niej dziewicz-wieczór; jam się nie spóźniła!...

Weszła do chaty. Przywitali ją; pytają: zkąd jest? częstują; a ona otworzyła okienko, wyciągnęła wśród chaty ręce, i powiada:

— Leć że ty, młoda, ptaszyną! a wy, drużki, za nią! Żebyście do wiecznego wieku latały i szczebiotały.

Powiedziała te słowa czarownicze — i one wszystkie prychnęły okienkiem, jedna za drugą, tylko skrzydełkami łopoczą. Tak i poleciały rząd za rządkiem; Ołena przód powiodła.

V.

Co to płaczu, co zgrozy i strachu było w wiosce!... Nie ma dziewcząt! zginęły jakby ich ziemia pochłonęła!

Tymosz chodzi; z tęsknoty i niespodziewanego nieszczęścia miejsca sobie nie znajdzie; chodzi i biega z ulicy w ulicę; aż stoi we wrotach Chyma. Spojrzał on i wspomniał jej proroctwo.

— Wraża dziewko! — powiada — naprorokowałaś mi nieszczęście! Bodajbyś i ty do śmierci nie doczekała wesołej godziny!

Ona spojrzała za nim w ślad, i wziął ją żal; uśmiechnęła się i »Obaczymy!« rzekła.

. . . .

Rok minął.

Stara matka prosi Tymosza.

— Synu mój, synu! ożeń się, gołąbku! Co ty masz więdnąć u mnie? Choć i żal — lecz się nie wróci!... Pociesz mnie starą; niechaj ja mego wieku dożyję w radości, dziękując Bogu i tobie, moja dziecino.

— Matko moja, staruszko! trudno mi się ożenić: nie znajdę ja takiej *drużyny*, jaka niegdyś była u mnie!...

— Weź Chymę, synu! To dobra dziewczyna; a mnie jak poważa! niech jej Bog dolę da i szczęście! I ciebie ona szczerze kocha.

— Chymę wziąć? matko! Ależ to mój wróg największy!... Ona mi naprorokowała moją niedolę!

— O, synu mój luby! poco to wspominać? Wszystko boża wola. Co dziewczyna wymówiła w żalu, z tego nie bywa przygody; tak już — nie było sądzono!...

Jak zaczęła to łzami, to pieszczotami przemawiać do niego, taki umowiła wziąć Chymę. Powiadają: »Woda kamień przedziurawi,« takteż i to: tyrkoczą i tyrkoczą co dzień, co godzina: ożeń się, a ożeń! pożałuj starą matkę, co cię wychowała! co zdrowie swe straciła, ciebie doglądając! Kozak zgodził się; poswatał Chymę, i wziął ją za żonę.

Doczekała się stara synowej, i nacieszyć się nie może: jakaż to do niej szczera i pokorna! I usłuży jej co potrzeba, i pożałuje, i dogodzi jak rodzone dziecię. A już do Tymosza — to tak i wije się i przypada do niego, z oczu go nie spuszcza, chociaż on zawsze ponury i nie łaskaw.

Chyma na to nie zważa; jego ma tylko na oku, dogadza mu jak lubej dziecinie; a gdy się doczeka, że Tymosz się uśmiechnie — Boże mój! niby ją słońce oświeci, i oczy błyszczą, i liczko poczerwienieje.

VI.

Siedzi on jakoś w sadku, i żona koło niego; oboje w milczeniu.

Ona mu w oczy zagląda, a on głowę opuścił — duma. Wtem słyszą: tak coś szczebiocze, tak szczebiocze! Patrzą: a nad ich głowami wiją się ptaszęta, a jedna ptaszyna najniżej, krąży nad Tymoszem. On czuje na twarzy powiew jej skrzydełek.

Żona porwała go za rękę.

— Zastrzel ptaszynę, Tymoszu! — powiada, a sama pobladła.

— A poco mam niewinną szczebiotuszkę życia pozbawiać?

— Zastrzel, Tymoszu, zastrzel mój drogi! — błaga, ściskając go za rękę.

— Nie będę strzelać; nie proś napróżno.

— Nie będziesz? Tobie ba-i bardzo, że cię żona błaga, bo żona ci nie miła — powiada; a łzy z ocz padają mu na rękę, i niby ogniem palą.

— O, żono! — powiada Tymosz — te łzy twoje jakby z ognia...

— Bo gorżkie, Tymoszu! A czy mało takich wypłakałam?...

I znów poczęła go błagać, by zastrzelił ptaszynę.

On taki jej nie usłuchał.

— Zostaw mię — powiada — zostaw niedobra, nierozważna!

Chyma zerwała się, i wyszła z ogrodu.

A ptaszyna coraz niżej, niżej do niego przypada.

Tymosz patrzy, i tak mu jakoś miłą ta szczebiotuszka, że oczu by od niej nie oderwał; słuchał by, nie nasłuchał się jej cichego i miłego szczebiotania!

Taki go żal zdjął dziwny; łzy pociekły z oczu.

Przypadł on do ziemi i zrosił ją łzami.

Słyszy: coś szumi wysoko. To czarny kruk: rozpędził ptaszęta, i najpiękniejszą już dopada. Ona jak strzała leci, a kruk ogartuje ją skrzydłami niby chmurą.

Skoczył Tymosz, sam nie swój; pobiegł, porwał strzelbę, i zastrzelił czarnego kruka; ptak upadł koło Tymosza.

Patrzy Tymosz — to nie kruk, to młoda jego żona; z pod lewej ręki krew ciecze czerwona, a prawą trzyma jego pierwszą miłę — martwą. Jak była na dziewicz-wieczór zakwiecona i ubrana, tak i leży przed jego oczyma Ołena, piękna i roskoszna jak kwiatek!

Ołenę pochowali koło cerkwi pod wiśnią, a gdy postawili krzyż, to zleciały się drobne ptaszęta, obsiadły go z góry aż do samego dołu, i żałośnie zaszczebiotały.

I tak co wiosny przylatują i szczebiocą nad Ołeną. To jej drużki, co na dziewicz-wieczorze u niej śpiewały.

Tymosz nie długo tułał się po świecie: zjadła go tęsknica. Chata rozwaliła się, podwórze zarosło burzanem, sadek usechł i głęboka krynica zasypała się. Wszystko mchem porosło i okryło się pyłem.

Rozmaitości.

* Towarzystwo naukowo-literackie już się ukonstytuowało. Na walnem posiedzeniu dnia 8. marca, prezesem towarzystwa obrano pana Augusta Bielowskiego, zastępcą p. H. Szmitta. Wydział składają pp. Ł. Tatomir, J. Sztarkel, J. Dobrzański, K. Widman, P. Kostecki. Jako nadzwyczajnych, wybrano pp. K. Wilda, M. Dubsa i A. Sapiehę.

O rezultacie rozpraw posiedzenia wiemy — z gazet, gdyż nie tylko żadnego z członków redakcji naszego pisma nie powołano do Stowarzyszenia; ale nawet nie uznano za stosowne literackiemu tygodniowemu pismu przesłać zawiadomienie o projekcie zawiązania się Stowarzyszenia, chociaż odnośne odezwy zdarzyło się nam spotykać nawet w sklepach korzennych.

Jest to słaba ilustracja tego: czem są u nas napuszyście wygłaszane frazesa o zespoleniu sił ku jednemu celowi!...

* Mieliśmy nadzieję, że teatr niemiecki we Lwowie, po bankructwie ostatniego dyrektora, zostanie zwiniętym... niestety! zawiedliśmy się i tym razem. Teatr oddano nowemu przedsiębiorcy. Jest nim niejaki pan König, który w wielkiej odezwie, porozlepianej na murach miasta, obiecuje złote góry publiczności niemieckiej — którą chyba sprowadzi do Lwowa, gdyż jej tu nie ma wcale. Pomiędzy imionami sławnych artystów niemieckich, którzy mają występować w rolach gościnnych, spotykamy B. Dawizona, którego nie wiemy, czy wolno nam nazwać naszym?... Rzecz ciekawa, czy artysta ten występując na scenie, która była jego piastunką, poczuje się do solidarności z nami, i czy da się słyszeć polakom po polsku?...

P. Dawizon ma zjechać do Lwowa w miesiącu Lipcu.

* *Po śmierci* komedja w 1 akcie, przez p. Bronisława Komorowskiego, w osobnej odbitce weszła do handlu księgarskiego. Cena egzemplarza na pięknym welinowym papierze 60 cnt. w. a.

* Franciszek Adamec, utalentowany powieściopisarz czeski umarł w Pradze dnia 7. b. m. Literatura czeska, obecnie uboga w talenta powieściopisarskie, dotkliwą ponosi stratę przez śmierć ś. p. Adamca.

* Sławny pianista Rubinsztein zawarł umowę z przedsiębiorcą amerykańskim, mocą której zobowiązał się dać 100 koncertów w różnych miastach Ameryki za sumę 100.000 złr.

* Dickens wraca do Londynu ze swej wycieczki do Ameryki. Literaci nowojorscy wyprawią mu pożegnalną ucztę.

* Sławny ongi tenorzysta Tamberlik (słowiniec) występuje obecnie w Madrycie.

I zachodzące słońce cieszy tego, kto wschodu nie oglądał...

* W Krakowie wyszło dzieło: „Pamiątka dla rodzin polskich,“ krótkie wiadomości biograficzne o straconych na rusztowaniach, rozstrzelanych, poległych na placu boju, oraz zmarłych w więzieniach, na tułactwie i na wygnaniu syberyjskiem od roku 1861 do 1866, ułożył Zygmunt Kolumna. Cena 5 złr. 50 ct.

* Dotychczasowe „Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych“ ma być z rozszerzeniem zakresu swego działania zamienione na „Towarzystwo przyjaciół oświaty.“ Celem tegoż Towarzystwa będzie: rozszerzanie oświaty w narodzie i podniesienie tejże w ludzie. Do spełnienia powyższego celu będzie wydawało Towarzystwo: a) dzieła pożyteczne dla oświecieńszej klasy ludności; b) książki dla ludu miejskiego i wiejskiego; c) książki szkolne dla szkół początkowych i średnich. — Towarzystwo będzie także uwzględniało nauki realne, mające dzisiaj tak wielki wpływ na rozwój umysłowy i materjalny społeczności. Dla ożywienia ruchu umysłowego będą się odbywały dwa razy do roku w Krakowie walne zebrania. Towarzystwo będzie zakładało w miarę możności biblioteczki, szczególniej po wsiach i miasteczkach, będzie ogłaszało konkursy i wyznaczało nagrody za najlepsze dzieła i rozprawy, ułatwiało autorom ogłaszanie ich dzieł drukiem, nagradzało osoby odznaczające się w swym zawodzie, szczególnie nauczycieli szkół początkowych, udzielało pożyczek młodzieży niezamożnej, sposobiącej się do specjalnych zawodów, wreszcie wspierało zasłużonych autorów a w potrzebie będących, w wyjątkowych zaś razach nawet wdowy i sieroty po nich zostałe. — Towarzystwo to ma się składać: 1) z członków założycieli, którzy złożą na własność Towarzystwa 200 złr. jako sumę kapitałową, nadto 10 złr. rocznej wkładki; 2) z członków rzeczywistych, którzy się zobowiążą płacić przez trzy lata 10 złr. rocznie; 3) z członków opiekunów, którzy złożą na własność sumę 1000 złr.; 4) z uczęstników, którzy zapłacą rocznie 2 złr. Władza Towarzystwa przyjaciół oświaty ma być wykonywana przez ogólne zgromadzenia członków, zarząd i wydział kontroli rachunkowej.

Obyśmy tylko rzeczywisty pożytek mieli z projektowanego Towarzystwa! W słowa nigdy nie byliśmy ubodzy; ale nam czynów potrzeba!...

* Procesja tłustego wołu w Paryżu. W przysłowiowy sposób, od jakiegoś czasu powtarzają Francuzi wyrażenie: Dnie idą jeden po drugim i są do siebie podobne — *les jours suivent et se ressemblent.* Możnaby powiedzieć, że i lata są podobne jeden do drugiego. Od każdego nowego roku do każdego trzydziestego pierwszego grudnia powtarza się w koło jedno i to samo, według kalendarza. Z kolei przychodzi karnawał, kończący się ostatkami, i w ostatnich dniach wyprowadza na ulice Paryża śmieszną, bezsensowną, żadnego racjonalnego powodu nie mającą procesją tłustego wołu. Oprowadzać tuczonego wołu po ulicach, jaki w tem sens? A jaka temu towarzyszy parada!... Procesję otwierają i zamykają municypały na dużych bojowych koniach; woły jadą na tryumfalnych wozach przystrojonych w wieńce, łuki i festony; poprzedzają je i postępują za niemi inne wozy, także tryumfalne i także pysznie przystrojone, wiozące kobiety, przedstawiające postacie lub genjusze, ugrupowane na wzór żywych obrazów. Że zazwyczaj w ostatki na dworze panuje zimno albo słota, więc łatwo sobie wystawić, co za dzwonienie zębami odbywa się pomiędzy pięknościami, przebranemi za genjusze i mitologiczne bóstwa! jak one w muślinach, z pod koron i szyszaków wyglądają czerwono i sino! ile ducha poświęcenia rozwijać w sobie muszą te biedne istoty, wynajęte po parę franków od osoby, ażeby dosiedzieć bez poruszenia na łodziach i wysokich rusztowaniach!... Procesja *boeuf gras* straciła dawniejszy charakter, o którym podania mówią, a stała się w ostatnich czasach na wielką skalę reklamą rzeźniczą, o którą się rzeźnicy całego Paryża dobijają. W tym roku dostała się ona niejakiemu panu Duvalowi, który się tem wsławił, że w różnych punktach stolicy pozakładał restauracje, zwane *bouillon*, mające tę zaletę, że karmią ludzi taniej i lepiej aniżeli zwykłe gargoty. Ów Duval wystąpił z niezwykłą paradą, a to dla tego, że reklama jego miała podwójne zadanie: zalecenia publiczności jatek i bulionu. Obnosił więc swoje woły po całym Paryżu, przystroił wozy nadzwyczajnie pięknie i otoczył je liczną kalwakatą masek, grających role konnej i pieszej eskorty, a przedstawiających różne zwierzęta, psy, koty, lwy, lamparty, papugi, sroki, wrony itd. Już to przyznać należy, iż do urządzenia całej procesji *boeuf gras* trzeba być obdarzonym bardzo bujną imaginacją. O cóż tu bowiem chodzi? — o to, ażeby w sposób artystyczny usymbolizować wołowe mięso. Zadanie trochę za trudne. Z chlebem sprawa byłaby łatwiejsza. Od tego jest Cerera i cały arsenał narzędzi rolniczych, wsparty mnóstwem traw, ziół i zbóż, nadających się wybornie do wianków, girland i bukietów... Personal łatwo w grupy ułożyć ze żniwiarzy i żniwiarek, z oraczy, kośników, gromadzielników, gromadzielniczek, kwieciarek, piekarek, młynarek, słowem z mnóstwa postaci, z któremi poezja nie raz i nie milion razy miała do czynienia. Lecz mięso!... jaki jest sposób zrobienia z niego artystycznego użytku? Gdyby ów wół, grający w procesji pryncypalną rolę, był przeznaczony na to, aby go do pługa zaprządz, to jeszcze. Możnaby go uwydatnić na tle rolnictwa. Lecz przeznaczeniem jego jest, być zarzniętym, poćwiertowanym i zjedzonym. Wielką więc jest trudność usymbolizowania owych ćwiartek i kawałów mięsnych, mających być wystawionemi jutro na sprzedaż. Dla tego też zapewne urządziciele procesji nie zadają sobie bynajmniej pracy w zwalczeniu lub obchodzeniu tej trudności; symbole i genjusze, otaczające tuczonego wołu, nie mają najmniejszego z mięsem związku. Przystają one do niego jak pięść do nosa. Na jednym wozie jedzie wół, a na drugim Wenera na konsze zaprzężonej gołębiami, a dalej Minerwa w groźnej postawie, w szyszaku i zbroi, w towarzystwie wypchanej sowy i w otoczeniu matematycznych narzędzi, a dalej genjusz Francji, imitujący Minerwę, a obok niego tłum pajaców z długiemi nosami, śpiczastemi brzuchami i wysokiemi garbami. Na wszystkiem tem nie dopatrzysz żadnej myśli; nic nie tłómaczy, nic nie przedstawia. Jest to sobie błazeństwo bez celu i serca, na które gawronią się tłumy, same nie wiedząc dla czego. Zaiste, naród, uchodzący za najdowcipniejszy w świecie *le plus spirituel au monde* nie mógł zdobyć się na koncept bardziej płaski — i nawet uczucie wstrętu budzący. Kogoż to bowiem oprowadzają procesjonalnie po ulicach? — biednego wołu, którego godziny są policzone. Hukają na niego, cieszą się jego widokiem, śmieją się, nie myśląc o tem, że on niebawem paść ma pod obuchem.

* „Veritas“ wychodząca w Paryżu, podaje sprawozdanie, w którem wymienia wszystkie stracone okręty z roku 1867. Suma ogólna tychże wynosi 3046 — w porównaniu z rokiem 1866 wynosi liczba z 1867 roku 112 więcej strat. Z tych 3046 straconych okrętów w r. 1867: rozbiło się 1433, zatonęło 452, wpadło na rafy 369, przez eksplozją wysadzonych zostało 5 w powietrze, 79 spaliło się, 8 w lodzie zaginęło, 319 jest, których przyczyny zaginięcia niewiadome, 203 bez śladu zupełnie zaginęły. Wedle bandery należały wspomione okręty do następnych narodów: 1438 okrętów angielskich, 364 amerykańskich, 273 francuzkich, 112 holenderskich, 156 pruskich, 116 norwegskich, 62 włoskich, 69 tuńskich, 31 austrjackich, 45 hiszpańskich, 46 szwedzkich, 12 hamburgskich, 39 moskiewskich, 36 greckich, 11 bremeńskich, 8 oldenburgskich, 11 portugalskich, 7 belgijskich, 18 meklemburgskich, 7 tureckich, 5 brazylijskich, 1 wyspy Haiti, 163 niewiadomej bandery. W miesiącach październiku, listopadzie i grudniu r. 1867 zginęło 1025 okrętów, do tych dołączając jeszcze 35, które za stracone lub zginione uważać można, wypada w przeciągu trzech miesięcy liczba 1060 zginionych okrętów.

* Trzeci nr. „Śmieszka“ odznacza się, jak poprzedni, niewymuszonym humorem i wybornemi drzeworytami.

Oto co czytamy na wstępie:

Było to w Chinach, od stworzenia świata
Osiem tysięcy sześćset cztery lata.

Stowarzyszenie pekińskiej czeladzi;
Kto ma coś mówić, niech się wprzód poradzi...

I taką mowę miał mąż Wi-Du-Ma-Nu
Mandaryn wielki, choć małego stanu:

„Słuchaj mnie — rzecze — czeladzi pekińska,
Miłość ma ku wam jest prawdziwie chińska!...“

„My mandaryni, choć tak blizcy bóstwa
Lubimy jednak zejść w pośrodek mnóstwa...“

„Jam przecież nie jest żaden wiercipięta,
A mówię z wami... Bóg mi to spamięta!...“

„Bo wy nie myślcie wielce mi wielebni,
Że was nie znamy — gdyście nam potrzebni!...“

„My tacy ludzie, jak i wy czeladzi!
W jedno kasyno Bóg wszystkich prowadzi...“

„Więc nie gardzimy wcale — waszą pracą,
Czasem zazdrościm, że was lepiej płacą;“

„Bo i my także mamy swoje trudy:
Ten tego czerni, a ten zmywa brudy...“

„*Nawet ten książe, co jest między wami,*
A i ten z nudów *coś robi...* czasami!...“

„Choćby miał wszelkie prawo nic nie robić,
Tylko osobą swoją świat ten zdobić...“

„A więc mi wierzaj czeladzi pekińska,
Że miłość nasza jest prawdziwie chińska.“

„I przyjm przestrogę tę od Mandaryna:
Wszystko się kończy to, co się zaczyna!...“

☞ ***Wszystkie Ajencje naszego Pisma prosimy o złożenie rachunków.***

☞ Dodatek: **Tablica krojów z opisami.** ☜

Od Wydawnictwa.

Z dniem 1. kwietnia rozpoczną »Nowiny« szósty miesiąc swego istnienia.

Byt naszego Pisma uważamy za już ustalony, a dalszy jego rozwój zależy od liczby prenumeratorów. Większe środki umożliwią nakłady większe, a te wpłyną na podniesienie się wartości samego Pisma i jego dodatków.

Staraniem naszem usilnem będzie: uczynić »Nowiny« pismem niezbędnem w każdym polskim domu. Ich dążeniem jest: stać się dobrem pismem powieściowem — i będą niem, jeżeli jeszcze nie są.

Przychylając się do rad i życzeń naszych Czytelników, z przyszłym kwartałem, ogłaszamy osobną prenumeratę na Pismo, i na dodatki.

Cena »Nowin« z dodatkami pozostaje ta sama: rocznie **8** *złr.* **60** *cent. z przesyłką pocztową. Samo Pismo rocznie* **4** *złr.* **60** *cent. z przesyłką pocztową.*

Tygodniowy dodatek »Nowin« składający się z kolorowanych rycin mód, wzorów, krojów z opisami i muzykaljów rocznie **4** *złr.* **60** *cent. z przesyłką pocztową. Same muzykalja (raz na miesiąc) rocznie* **1** *złr.* **50** *cent. z przesyłką pocztową.*

Jeżeli z przyszłym kwartałem Pismo nasze zyska 200 nowych prenumeratorów na dodatek mód, to **bez podniesienia ceny,** *(jak jej nie podnieśliśmy, dając papier o dwa razy droższy), będziemy dawać Szanownym prenumeratorom najświeższe ryciny mód, robione dla nas w Paryżu, podług akwarel p.* **David.** *Tym sposobem prenumeratorowie »Nowin,« za* **8** *złr. będą mieli to, czego im inne Pisma nie dają za* **13** *złr.*

Z dzisiejszym numerem rozsyłamy **Listy zwrotne,** *prosząc o wczesne zamówienia, aby módz zastosować się z ilością nakładu, i o zwrot zaległości.*

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.